



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Mieczysław Kędziora

W Pobiedziskach

Pochodzę z miejscowości Pobiedziska, oddalonej o 25 kilometrów od Poznania. Po pierwszej wojnie światowej w mieście i okolicy pozostało wielu Niemców. Kiedy żądania Hitlera stawały się bardzo natarczywe, zaczęli się odzywać coraz bardziej butnie i arogancko. Wówczas to na polecenie burmistrza i policji mój ojciec chrzestny, posiadający motocykl, zwoził owych Niemców na komisariat na przesłuchania. Pamiętam ów motocykl. Była to francuska „pięćsetka”. Często woził mnie sadzając w rozkroku na ogromnym baku na benzynę, jak na konia.

Pierwsze czynności przygotowawcze do wojny polegały na wycięciu otworów w płotach na terenie całego miasta. Miało to prawdopodobnie jakieś znaczenie w działaniach przeciwigazowych. Mama uszyła mi też z taśmy i gazy opaskę na twarz związaną z tyłu głowy.

O ile pamiętam mój ojciec dostał powołanie do wojska w sierpniu 1939 roku. Był w plutonie sanitariuszem Armii Poznań, która stoczyła bitwę nad Bzurą. Potem był odwrót i odsiecz Warszawy, walki w okolicy Puszczy Kampinoskiej, gdzie ojciec dostał się do niewoli. Powrócił z niej dość wcześnie, bo na wiosnę 1940 roku. Musiał jednak meldować się na policji w każdą niedzielę. Ojciec często wspominał nazwiska: generała Kutrzeby, generała Abrahama, miejscowości: Piątek, Łowicz i wiele innych.

Pamiętam wkroczenie wojsk hitlerowskich do naszego miasteczka. Rozeszła się wieść, że są na Rynku. Miałem wtedy niecałe pięć lat. Wraz ze wszystkimi mieszkańcami naszego domu wyszliśmy na róg ulicy Głównej. Na skrzyżowaniach stało wojsko, u ich stóp leżał ogromny karabin maszynowy. Wśród grupki naszych domowych sąsiadów był też mój ojciec chrzestny, a nasi sąsiedzi byli spokrewnieni między sobą.

Pamiętam zbliżający się odkryty samochód, w którym byli cywile z czerwonymi opaskami i jakimś „zygzakiem”. Kiedy chrzestny zobaczył ich, powiedział: „to po mnie” i wbiegł do bramy kamienicy stojącej na rogu ulicy. Rzeczywiście, samochód stanął przed naszym domem. Wszyscy wyskoczyli z niego i pędem ruszyli na nasze podwórze. Tam zaczęły się krzyki i pytania: „Gdzie jest Kiełczewski?” (mój chrzestny). Kobiety powiedziały, że nie wiedzą. Dla postrachu zaczęły potrząsać bronią i ustawili je twarzą do ściany. Wtedy rozległ się lament i płacz. Dzieci stanęły przy rodzicach, a ja wśród nich byłem najmłodszy. Niemcy nie dowiedziawszy się niczego zrobili rewizję i odjechali, ale ciągle odgrazali się.

Pamiętam też, jak Niemcy spędzili ludność miasta na Rynek. Stał tam wóz z prasowaną słomą, na której oparte były ogromne, drewniane bele. W późniejszym okresie dowiedziałem się, że brali wtedy zakładników z magistratu. Po wojnie dowiedzieliśmy się, że miała być egzekucja na Rynku,

ale przeciwstawili się temu pastor ewangelicki i nasz ksiądz Szulert. Wóz ten krążył po ziemi poznańskiej od Mosiny poprzez Środę Wielkopolską i Kostrzyn do mojego miasteczka. Ilekroć Niemcy przeprowadzali publiczne egzekucje, zmuszali mieszkańców i okoliczną ludność do oglądania scen kaźni, aby zniechęcić do jakiegokolwiek oporu. Widziałem tych ludzi powiązanych za ręce sznurami. Żołnierze popychając ich karabinami załadowali wszystkich na samochód i odjechali. Po wojnie nie wrócili, może leżą rozstrzelani w lasach podpoznańskich.

Na początku listopada zaczęły się wywózki mieszkańców do Generalnej Guberni. Dotknęło to zwłaszcza kupców, restauratorów, rzemieślników mających swoje warsztaty pracy, piekarzy, rzeźników. Aresztowano też burmistrza, księdza Szulerta, powstańca wielkopolskiego pana Śniadeckiego, pana Kronkowskiego z magistratu. Wszyscy zginęli w obozie w Dachau.

Na miejsce wysiedlonych przyjechali Niemcy, którzy po Powstaniu Wielkopolskim opuścili to miasto, sprzedali swoje interesy i wyjechali do Rzeszy. Teraz wrócili jakoby na swoje. Mówili dobrze po polsku, chociaż z akcentem niemieckim.

Moja matka zaczęła sobie sama radzić, bo ojciec był w niewoli. Trzeba było przecież jakoś żyć. Nastąpiła wymiana pieniędzy. Można było jeszcze jeździć bez przepustki do Poznania. Matka za skromne pieniądze kupowała kielbasę, kaszanke i inne wyroby, które wywoziła do Poznania do znajomych. Ci z kolei polecali innych i tak zaczął się szmugiel. Z duszą na ramieniu mama przewoziła to na sobie w specjalnie uszytym gorsecie. Wysiadała na dworcu peryferyjnym Tama Garbarska Poznań. Potem było coraz gorzej, policja z psami wyłapywała przewoźnych towar i musiała zrezygnować ze szmuglu.

Ojciec wrócił z niewoli na wiosnę w 1940 roku. Opowiadał, że był na granicy francuskiej i ładował worki z cukrem na barki, które pływały po rzece Ren. Przed wojną ojciec pracował w tartaku u pana Kosińskiego, którego teraz Niemcy z rodziną wywieźli do Generalnej Guberni. Zanim tartak ruszył, podjął pracę u rybaka – Niemca, z którym chodził do niemieckiej szkoły. Nazywał się on Willi Wilda. Ojciec przynosił ryby, których nigdy nie widziałem. Mówił jak się nazywają. Były to szczupaki, liny, karpie, okonie. Węgorze mama oddawała, bo bała się je oprawiać mówiąc, że to żmije.

Nie wiem od kiedy ruszył tartak. Na początku kierował nim zarządca niemiecki, a potem przyjechał osadnik, który był tu właścicielem przed I wojną światową. Miał syna, który był w wieku mojego ojca i – zbieg okoliczności – również chodził z nim do szkoły. Mówił świetnie po polsku. Moja matka też została zatrudniona u nowych właścicieli tartaku, jako służąca. Praca układała się poprawnie mimo, że uważali się za rasę panów. Byli to starsi ludzie, chyba powyżej 60 lat. Ich syn Ernst został powołany do wojska i słuch po nim zaginął. Moja matka w 1945 roku uratowała ich od rozstrzelania przez żołnierzy Armii Czerwonej.

Nastąpił względny spokój. Miasto nazywało się teraz Pudewitz. Nazwy ulic również zostały zmienione. Szyldy sklepów zastąpiły niemieckie napisy. Niemcy świętowali swoje sukcesy militarne, pokonując kolejne państwa na zachodzie. Wszędzie powywieszano sztandary czerwone z dziwnym krzyżem. Na Rynku wkopano ogromny maszt, na którym powiewała taka sama, ale ogromna flaga.

Do naszych sąsiadów przyjechał wnuk, który już wówczas chodził do gimnazjum w Poznaniu. Był moim autorytetem. Chodziłem z nim za rękę. Na imię było mu Freda. Będąc u dziadków uratował się od wywózki do Generalnej Guberni. Miałem też sąsiadki – koleżanki: Jankę i Emilkę, starsze ode mnie, które chodziły już do szkoły podstawowej. Wśród moich sąsiadów był również kolega Tadeusz, a wychowywała go matki siostra w Berlinie, która w pierwszą wojnę światową wyjechała do Niemiec jako młoda dziewczyna i pracowała tam w zakładach zbrojeniowych. Wyszła tam za mąż i otrzymała obywatelstwo niemieckie. Tadeuś chodził w Berlinie do szkoły, mówił bardzo dobrze po niemiecku. Znajomość tego języka przydała się nam bardzo do komunikowania się z nowymi osadnikami. Przyjechał teraz na stałe do swojej matki, która była teraz wdową. Miał starszego brata Henia, zatrudnionego u Niemca – rzeźnika. Dzięki temu często po sąsiedzku i nam coś „skapnęło”.

Skąd ja to wszystko wiem? Ano, przychodzili sąsiedzi do naszego mieszkania lub my do nich i tak sobie opowiadali. A że pamięć miałem dobrą i to mnie pasjonowało, więc teraz opisuję. Ponieważ w naszym domu było zimno w okresie zimy, ogrzewaliśmy je odpadami drewna, które ojciec przynosił z tartaku. Zresztą cztery rodziny, które mieszkaly w naszym domu bardzo się szanowały i wiedziały dużo, ukrywając to przed dziećmi, np. gdzie się ukrywa mój chrzestny. Potem przyjeżdżało bardzo dużo wojska i sprzętu budowlanego. Budowano szosy do miejscowości Bednary (Tondorf), bo tam rozbudowywano pasy startowe dla samolotów – rozbudowywano lotnisko.

We wrześniu 1940 roku matka zaprowadziła mnie do szkoły niemieckiej, do której chodziłem ze starszymi kolegami do jednej klasy. Program nauki obejmował nabycie umiejętności liczenia wyłącznie do stu, podpisania się nazwiskiem, posłuszeństwa wobec Niemców. Poza tym uczono nas kła-

niać się mundurowym i schodzić przed nimi na jezdnię, a także uczciwości, pilności i grzeczności. Czytania i pisanie nie nauczyłem się tam wcale. Zresztą więcej się chodziło na wykopki ziemniaków do okolicznych bauerów, niż na zajęcia w szkole. Chodziliśmy też do lasów i na łąki i zbieraliśmy zioła lecznicze. Do szkoły niemieckiej uczęszczałem tylko przez jeden rok.

W pobliżu miasta był klasztor sióstr Najświętszego Serca Jezusowego. Siostry musiały go opuścić. Były i takie, które zatrzymano i były salowymi, bo zrobiono im szpital. Przeprowadzali tu rekonwalescencję rannych żołnierzy. Na razie było ich mało. Niemcy świętowali swoje zwycięskie triumfy na zachodzie Europy. Odbywały się defilady ugrupowań paramilitarnych. Maszerowały formacje ubrane w czarne spodnie i żółte koszule, młodzież Hitlerjugend ze swoim czarnym sztandarem SS, biciem w werble i fanfary. Kto nie zdjął czapki był boksowany, a zimą obrzucany zlodowaciałymi śnieżkami, żeby mocniej bolało.

Pamiętam był upał i na stację kolejową wtczył się transport samolotów – szybowców. Były one rozłożone – osobno kadłuby i skrzydła. Ładowano je na specjalne platformy i tak ciągnęły je potężne samochody Tatra. Transportowano je na lotnisko do Bednar, a część została na rampie do zakończenia wojny. Była to frajda, bowiem kiedy nie było obstawy, można było wejść do środka, usiąść za sterami i pomachać lotkami. Były to samoloty desantowe dla spadochroniarzy. Na pewno szykowane na inwazję na Anglię. Ciekawość była okupiona łapankami przez policję, biciem pejczem i czyszczeniem rowerów policyjnych. A dla niektórych wysłaniem do obozu dziecięcego w Łodzi. Miałem właśnie dwóch starszych kolegów, którzy się tam znaleźli – Bombińskiego i Stefańskiego. Ten pierwszy już nie wyszedł, zmarł w obozie, a Stefański wrócił w 1945 rok. Mnie dostało się pejczem i na długo to zapamiętałem. Odtąd ojciec zafundował mi kozę i króliki, które musiałem karmić. Chodziłem po rowach z sierpem i workiem, ścinałem trawę, mlecz, a czasem bauerowską koniczynę. Wciąż jednak interesowało mnie to co na dworcu, na rampie kolejowej.

Zaczął się dziać ciekawie. Wożenie cystern kolejowych z benzyną na specjalnym podwoziu na lotnisko, transporty wojsk wraz ze sprzętem wojennym na wschód. Częste rewizje w domu na Boże Narodzenie czy też Wielkanoc. Przy jednej takiej rewizji znaleźli motocykl, tę „pięćsetkę” rozkręconą na części. Jej główną część utopiono w szambie, wcześniej konserwując smarem i owijając w szmaty. Motocykl całą wojnę przeleżał na policji, po wojnie złożony i sprawny – działał.

Dzielne były nasze kobiety i matki. Nie pamiętam kiedy wprowadzono kartki na wszystko, ale musiało to być w 1940 roku, bo latałem po papierosy do specjalnego sklepu z tytoniem. Mój ojciec palił papierosy „Juno”. Były długie, więc dzielił je na trzy razy. Codziennie czytał niemiecką gazetę, która siała strach na swoich szpaltach: aresztowania, wyroki śmierci na Polakach – to codzienna rzeczywistość. Do moich obowiązków należało odbieranie mleka – oczywiście „ściąganego” czyli chudego oraz oleju i margaryny.

Gruchnęła wiadomość o wojnie niemiecko-rosyjskiej. Ach, jakie były sukcesy, dopóki szli naprzód! W oknie wystawowym znajdowała się mapa Europy, a na niej zatykane były codziennie chorągiewki na szpilce, pokazujące oddziały wojska kroczące na wschód. Zwiększyły się też transporty rannych do szpitala wojskowego w klasztorze Polska Wieś koło Pobiedzisk, właściwie była to dzielnica sąsiadująca. Były to obrażenia z okresu letniego, ale kiedy zaczęły się kłęski, a zwłaszcza pod Stalingradem, to już była jatka. Przychodziły transporty rannych w wagonach tzw. pulmanach, oznakowane na burtach i dachu czerwonym krzyżem. Na dachu klasztoru też był wymalowany ogromny czerwony krzyż.

Zakończył się marsz na wschód i znikła też mapa Europy z sukcesami armii hitlerowskiej. Coraz więcej kobiet niemieckich chodziło ubranych na czarno, a miejscowych Volksdeutschów ogarnęła trwoga. Niemcy przestali być już tak butni, choć w dalszym ciągu byli agresywni. Nadal odbywały się częste aresztowania i wywózki do poznańskiego Gestapo. Wielu aresztowanych nie wróciło już nigdy. Ojciec czytał też o mogiłach polskich oficerów w Katyniu i oglądaliśmy zdjęcia stamtąd w gazecie.

Front cofał się. Uaktywniło się lotnisko w Bednarach. Jeńcy wojenni z napisem na plecach SU rozładowywali bomby na rampie kolejowej oraz cement, jakieś żelastwo wywożone ze wschodu, cięte semaforey kolejowe, szyny i wiele metalowych części. Byli też żołnierze w stalowych mundurach bez orła i mówiący słabo po niemiecku. Prawdopodobnie byli to żołnierze generała Własowa. Mieli oni samochody, których szoferka – pamiętam – była z drewna. Kręciliśmy się wokół nich, a oni pokazywali nam tabliczki fabryczne w środku kabiny – literki jakieś inne niż te, co w gazecie. Transporty przychodziły z rannymi coraz częściej i w coraz gorszym stanie. Byli też coraz młodsi, bo Niemcom zaczynało brakować doświadczonych żołnierzy. Do ich rozładowywania brano również Polaków, którzy byli wcieleni do Straży Pożarnej. Rannych wożono sanitarkami i platformami ciągniętymi przez konie. Coraz częściej odbywały się naloty samolotów alianckich i słychać było detonacje w odległym Poznaniu, gdzie bardzo precyzyjnie niszczone zakłady zbrojeniowe Cegielskiego, czy też fabryki samolotów Foke Volf. Działał tu wywiad Armii Krajowej. Tu we Wielkopolsce walka podziemna była inna niż w Generalnej Guberni. Praca AK skupiała się tutaj

na wywiadzie, dywersji i sabotażu. Ciężkie też były wyroki: kara śmierci, obóz koncentracyjny, a tam powolna, względnie nagła śmierć. Mieliśmy też obóz karno-śledczy w Żabikowie, o którym mówiono szeptem, bo siał przerażenie.

W Warszawie wybuchło powstanie. Wśród folksdojczów zapadła trwoga, u Niemców – przerażenie. Zbierali ludzi zdolnych do noszenia broni. Pamiętam cywilów z karabinami i policjantów odjeżdżających z dworca. Dokąd? Na pewno do Warszawy. Pamiętam też starty bombowców, eskadry kołujące i odlatujące na wschód. Liczyliśmy samoloty, zarówno odlatujące, jak i powracające wieczorem. Wracających zawsze było mniej.

Zbliżała się zima. W styczniu ruszył front wschodni. 17 stycznia 1945 roku nastąpiła ucieczka Niemców z miasta. Uciekali też na wozach konnych z okolicznych wsi. Przeważnie kobiety z dziećmi, z terenu wschodniej Wielkopolski. Jako ostatni opuścili miasto w niedzielę żołnierze Własowa, którzy likwidowali szpital ze sprzętu medycznego z wymienionego klasztoru. Pamiętam – pijani z butelką wódki w ręku mówili: „Morgen kommt Iwan”. W poniedziałek od strony Kostrzyna Wielkopolskiego, czyli od strony warszawskiej, wjechały czołgi pomalowane na białą. Wystrzał armatni obudził nas nad ranem. Ojciec kazał ubierać się i brać worek z żywnością na plecy. Ktoś przybiegł z ulicy i oznajmił, że Rosjanie są w mieście. Zapanowała ogólna radość. Wtedy też zobaczyłem pierwszego zastrzelonego żołnierza niemieckiego – bardzo młodego. Miałem wtedy 10 lat. Z kolegami liczyliśmy ogromne czołgi – inne niż niemieckie – a było ich jak pamiętam 150. 21 stycznia 1945 roku miasto było wolne. Zaczął się nowy okres w moim życiu.